

COPYRIGHT © POLITYKA Spółdzielnia Pracy. Wszelkie prawa zastrzeżone.
Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne, opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

TEMAT TYGODNIA

- 12 Martyna Bunda **Ofiary złotych lokat**
14 Adam Grzeszak, Piotr Pytlakowski
Nie tylko Amber mamy zyskami
17 Jacek Żakowski **Sposoby na nepotyzm**
19 Marcin Kołodziejczyk

POLITYKA

- 22 Wojciech Mazowiecki **OGLĄD I POGLĄD**
Wciąż dużo PRL w RP

KRAJ

- 24 Edyta Gietka **Dziki rynek nerek**
27 Joanna Podgórska **Moda na umiar**
30 Juliusz Cwieluch
Domowa produkcja papierosów

- 32 Jagienka Wilczak **Kłątwa Zakopanego**

ROZMOWY ŻAKOWSKIEGO

- 34 Z socjolog medycyny **Kingą Dunin** o tym,
że polska służba zdrowia źle liczy

RYNEK

- 38 Cezary Kowanda **Gdzie dziś szukać tanich lotów**
41 Joanna Solska
Biznes zbożowy to biznes polityczny

ŚWIAT

- 44 Tomasz Maćkowiak
Aksamitny rozwód Czech i Słowacji
47 Artur Domosławski **BRAZYLIA**
Jak policja dorabia w fawelach
50 Roman Frister **IZRAEL** **Marihuana na co dzień**

HISTORIA

- 52 Jerzy Besala **Rzeź hugenotów**

NAUKA

- 56 Rozmowa z badaczem nowotworów
prof. **Robertem Weinbergiem** o szansach
na pokonanie raka

TECHNOECHO

- 60 Agnieszka Krzemińska
Ekshumacje w służbie historii

KULTURA

- 66 Piotr Sarzyński **Land art – rzeźbione w ziemi**
69 **KAWIARNIA LITERACKA** **Grażyna Plebanek**
70 Janusz Wróblewski **Woody Allen w Rzymie**
72 Adam Krzemiński **Brytyjczycy przeglądają się**
we własnych serialach

- 75 **MEA PULPA** **Kuby Wojewódzkiego**

PÓŁPRZEWODNIK POLITYKI

- 76 Marek Harasimiuk **WAKACJE Z PASJĄ**
Na motorze przez Europę

ŁUDZIE I STYLE

- 80 Piotr Stasiak
Jak Photoshop zmienił fotografię

- 83 Mariusz Herma
Filharmonie rezygnują z powagi

- 86 Piotr Adamczewski **ZA STOŁEM**
Przekąśmy oliwką

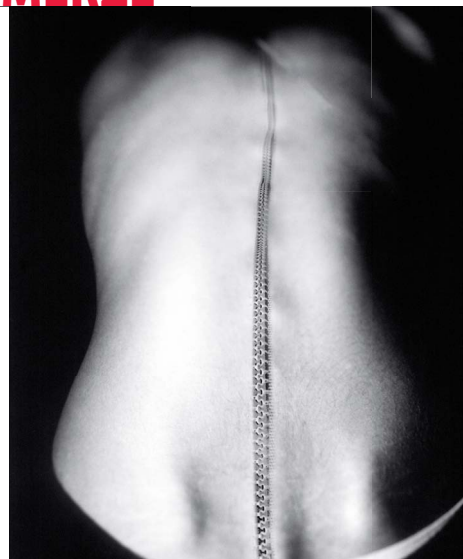
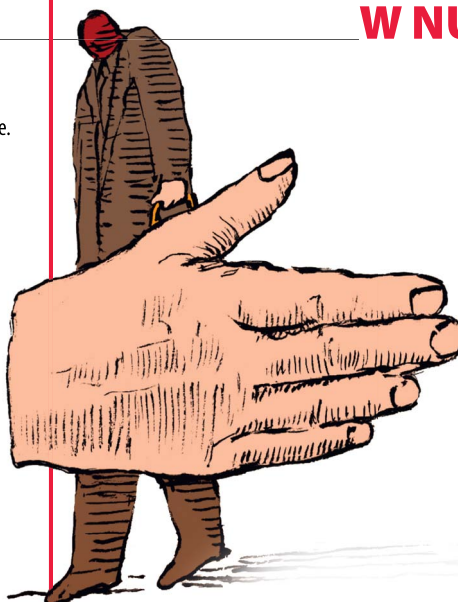
NA WŁASNE OCZY

- 92 Jan Dziadul, fotografie Leszek Zych
Tu spłonął cały las

STAŁE RUBRYKI

- 4 Mleczko i Mizerski • 6 Ludzie i wydarzenia
• 62 Afisz • 87 Fusy • 88 Stomma • 89 Passent
• 90 Do i od redakcji • 91 Tym
• 98 Polityka i obyczaj

W NUMERZE



17 Znajomości dobre i złe

24 Sprzedam część siebie



30 Domowy dym



44 Czechy i Słowacja: co wyszło z tego rozwodu



80 Lepszy świat
z Photoshopu



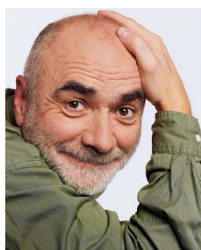
RYSUNEK ZAWIERA ŁOKOWANIE PRODUKTU

www.mleczko.pl

GALERIE ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140

ślawomir mizerski z życia sfer

felieton



Komu się nie przelewa

Może niedługo także posiadacze zwykłych kont będą mieli możliwość bezpośredniej obserwacji włożonych do banku pieniędzy.

Przez kraj przetoczyły się dwie afery związane ze złotem. Pierwsza afeta to olimpiada w Londynie, z której mieliśmy przywieźć sporo złota, ale przywieźliśmy głównie brąz. Złoto pojawiło się w ilościach śladowych i obecnie trwają dyskusje, kto nasze złoto przejął oraz kiedy i jakim kosztem możemy je w przyszłości odzyskać. Druga afeta to Amber Gold. Tutaj najwięcej złota występuje w nazwie firmy i oświadczeniach jej prawników. Firma Amber Gold zapewnia, że pieniądze klientów ulokowała w złocie, które teraz na ich koszt przechowuje w sejfach, ale na razie tego złota nikt nie widział. Zamiast złota kilka tygodni temu firma Amber Gold pokazała publicznie swojego prezesa Marcina Plichtę. Widoczna na ekranach telewizorów twarz prezesa zrobiła tak duże wrażenie, że klienci

w panice rzucili się do biur firmy, aby odzyskać swoje pieniądze.

Przez kilka dni w relacjach telewizyjnych oglądaliśmy klientów wykonujących nieudane podejścia do placówek Amber Gold w celu likwidacji lokat. Niestety okazało się, że ich lokaty zostały już wcześniej zlikwidowane. Firma wszystkim obiecywała przelewy, ale ich nie dokonywała, co prowadzi do smutnego wniosku, że w Polsce nie przelewa się nawet ludziom z pieniędzmi. Uzasadnione nadzieje na odzyskanie lokat obudziła sensacyjna informacja, że prezes Plichta jest krewnym ministra Arabskiego, szefa kancelarii premiera Tuska. Jednak szybko wyszło na jaw, że rząd premiera Tuska jest tak słaby i nieudolny, że minister Arabski nie jest dla prezesa Plichty nie tylko żadnym krewnym, ale nawet znajomym królika.

Przypadek Amber Gold dowodzi, że w działalności instytucji finansowych potrzebna jest jawność, ale bez przesady. Prezes Plichta wykazał się niską kulturą parabankową,

bo zamiast pokazać zaniepokojonym klientom jakieś złoto, pokazał się sam, co natychmiast wykorzystała prokuratura. Mijemy nadzieję, że prezesi innych firm podobnego błędu nie popełnią.

Niedawno Mennica Polska ogłosiła, że jej klienci w każdej chwili mogą zażądać okazania sztabek złota, które od niej kupili, a następnie oddali na przechowanie. Każdy klient może w wolnej chwili przyjść i na swoje sztabki popatrzeć. To miły gest, miejmy nadzieję, że klienci Mennicy go docenią i nie będą wybrzydzały na to, co zobaczą.

Wierzę, że niedługo także posiadacze zwykłych kont będą mieli możliwość bezpośredniej obserwacji włożonych do banku pieniędzy. Jestem przekonany, że każdy chętnie raz w tygodniu na własne oczy zobaczy, czy wciąż jeszcze ma jakieś oszczędności. Po aferze Amber Gold z pewnością nie zabraknie także osób zdecydowanych nie spuszczać swoich lokat z oka przez 24 godziny na dobę.

“ JAKOŚĆ RENAULT TO FAKT. RENAULT MEGANE ŚWIETNIE SIĘ SPRAWDZIŁO W TEŚCIE 5 MILIONÓW KILOMETRÓW 24 GODZINY NA DOBĘ W EKSTREMALNYCH WARUNKACH ”

DLATEGO BEZ OBAW MOŻESZ POŻYCZYĆ AUTO SWOJEMU SYNOWI



www.renault.pl



Renault zaleca

DRIVE THE CHANGE



Renault zajęło pierwsze miejsca w 4 z 6 kategorii w rankingu „Automobile Magazine” nr 788 ze stycznia 2012 roku. Ranking został wykonany dla 28 modeli i uwzględniał następujące kryteria: niezawodność, komfort i przyjemność jazdy, serwis posprzedażny, koszty użytkowania i odsprzedaż.

Według raportu usterkowoci DEKRA 2012 Renault Mégane zajęło 2. miejsce w kategorii aut kompaktowych dla przebiegu 0-50 000 km.

Źródło: Program Jakość Obsługi (www.jakoscobslugi.pl), nagroda w kategorii „salony i serwisy motoryzacyjne”.

Zużycie paliwa w cyklu mieszanym w zależności od wersji wynosi od 4,0 do 9,7 l/100 km, emisja CO₂ od 104 do 159 g/km. Szczegółowe informacje dotyczące odzysku i recyklingu samochodów wycofanych z eksploatacji na www.renault.pl

[Kup książkę](#)

Ten dom buduje się od dachu

Słowa prezydenta Bronisława Komorowskiego w Święto Wojska o budowaniu przez Polskę tarczy antyrakietowej wywołały wśród wojskowych i specjalistów sporą konsternację. To mniej więcej tak, jakby prezydent obiecał polski lot na Księżyc. Zbudowanie tarczy antyrakietowej wymaga rozbudowanego systemu rozpoznania i rażenia takich rakiet, które w kilka minut mogą dolecieć do Warszawy. Tego typu cele namierza się już w momencie ich odpalenia i strąca na wysokości kilkudziesięciu kilometrów. Trzeba mieć zatem własne satelity albo co najmniej cały system samolotów wczesnego ostrzegania. Nie mamy ani jednego, ani drugiego.

Proszeni o komentarz wojskowi, próbując przekładać słowa prezydenta na język możliwości, mówią raczej o „tarczuni”. Systemie, który nie uchroni nas przed każdą rakieta czy samolotem wroga, ale przynajmniej nie pozwoli przeciwnikowi przejąć kontroli nad polskim niebem. Nawet silna armia niezabezpieczona przed atakiem z góry będzie bezbronna. Akurat ten dom buduje się od dachu, i to dachu wielowarstwowego. Jak na razie nasz pokryty jest folią. Ostatnie rakietowe zestawy przeciwlotnicze kupiliśmy w połowie lat 80. Niektórzy mówią, że mają się ciągle dobrze – przecież dziewięć lat temu udało się nam strącić nimi myśliwiec. Tak się niestety składa, że własny. Ile jest wart system, który pozwala na takie błędy i to na tygodniami przygotowywanych ćwiczeniach? Wiekowa i niedoinwestowana

obrona przeciwlotnicza i przeciwrakietowa to rzeczywiście pierwszy punkt na liście do naprawy. I chwala prezydentowi, że zaczął o tym mówić. W Sztabie Generalnym już sześć lat temu określono priorytety w tym zakresie. I właściwie na tym koniec, bo niewiele więcej się wydarzyło. Wyrażnie widać, że bez politycznego parasola wojskowi tego ciężaru nie udźwigną. Z prezydenckim błogosławieństwem i ministerialnym nadzorem jest szansa, że wreszcie zaczniemy budować armię, która ma realne szanse bronić Polski.

Nie dajmy się jednak uwieść fantazji prezydenta również w kwestii kosztów. Jego propozycja sfinansowania tego projektu z pieniędzy zaoszczędzonych na zakończeniu misji w Afganistanie to pobożne życzenie. 5 mld zł, które w ciągu pięciu lat wydaliśmy

na Afganistan, starczyłoby na zaledwie dwie, trzy baterie. Tyle potrzeba do obrony jednego miasta. Zresztą o obronie całego kraju możemy zapomnieć. A jeśli projekt w całości realizowałby nasz narodowy koncern zbrojeniowy Bumar, to może się okazać, że nawet na jedną baterię byłoby za mało.

Bumar, który chciał sprzedać wojsku rakiety dla Nadbrzeżnego Dywizjonu Rakietowego dwa razy drożej, niż wynosiła konkurencyjna oferta, nie ma dobrych notowań w armii. Tym bardziej po audycie finansów firmy, kiedy okazało się, że aktywa są przeszacowane, a straty niedoszacowane. W sumie na 500 mln zł. Nowy prezes Bumaru Krzysztof Krystowski wydaje się człowiekiem, który daje nadzieje na zmiany w funkcjonowaniu firmy. Sam powiedział, że czasy, kiedy to, co dobre dla Bumaru, jest dobre i dla wojska, już minęły. Ale musimy poczekać na efekty jego pracy. Jeśli Polska ma mieć dobry system przeciwlotniczy, trzeba się pogodzić z realiami, że sami go sobie nie zbudujemy.

Kupowanie gotowego z tzw. półki to też nie najlepsze rozwiązanie. Te najnowocześniejsze na półce nie leżą. Powinniśmy zacząć współpracować z europejskimi producentami i kupić sprzęt na takich warunkach, żebyśmy mogli go potem sami doskonalić. Tak zrobili kiedyś Norwegowie (kupujemy od nich rakiety) i Niemcy (od których chcemy kupować rakiety). O takim rozwiązaniu mówił również prezydent Komorowski i to najjaśniejszy element jego zapowiedzi.

JULIUSZ CWiELUCH



© WOJCIECH STROZYK/REPORTER

Radni jednomandatowi, cisza wyborcza i eurolista

Jesienią prezydent Bronisław Komorowski przedstawi propozycję zmian samorządowej ordynacji wyborczej. Prawdopodobnie w najbliższych wyborach lokalnych w 2014 r. radnych w powiatach i w miastach na prawach powiatów będziemy wybierać w jednomandatowych okręgach wyborczych. – W Kancelarii Prezydenta analizujemy teraz, jak w najbardziej demokratyczny sposób podzielić okręgi – mówi minister Olgierd Dziekoński, prezydencki doradca.

Prezydent wielokrotnie mówił o swoim przywiązaniu do jednomandatowych okręgów wyborczych, a w kampanii zapowiadał, że ich wprowadzenie będzie jedną z jego pierwszych inicjatyw. Dziś takie okręgi obowiązują w wyborach do Senatu i rad gmin. Radnych sejmików wojewódzkich będziemy wybierać na starych zasadach, ale prezydent chce zlikwidować obowiązujący tu 5-proc. próg wyborczy, który muszą przekroczyć partie i komitety wyborcze, by brać udział w dzieleniu mandatów.

Propozycjom zmian mało przychylne są PSL i opozycja, która boi się wzmocnienia już i tak silnej w powiatach Platformy. Prezydencki projekt trafi do nadzwyczajnej komisji, która zajmie się zmianami w prawie wyborczym. – Ruszamy już we wrześniu i zajmujemy się w niej m.in. projektem PSL o zakazie publikacji sondaży na dwa tygodnie

przed wyborami – mówi Waldy Dzikowski (PO), który stanie na czele komisji. PSL dogadał się w tej sprawie z opozycją, ale PO nie poprze pomysłu, a prezydent zawetuje takie ustalenie, gdyby przeszło przez parlament.

Do komisji trafi też projekt Platformy zmieniający zasady wyborów do Parlamentu Europejskiego. Dziś 51 eurodeputowanych wybieranych jest z 13 okręgów wyborczych. PO chce, by każda partia wystawiła tylko jedną krajową listę. Tym propozycjom nieprzychylna jest zarówno opozycja, jak i ci europosłowie PO, którym trudno będzie konkurować ze znanymi z telewizji twarzami. Państwowa Komisja Wyborcza też złożyła posłom swoje postulaty. Chodzi m.in. o możliwość korespondencyjnego głosowania dla wszystkich wyborców, a nie tylko niepełnosprawnych i przebywających za granicą, oraz karanie komitetów, które nie założyły strony internetowej i nie umieściły na niej rejestru zaciągniętych kredytów, bo dziś uchodzi im to płazem. Organizacje pozarządowe wracają do posłów z pomysłem, który upadał w Senacie, o zawiadamianiu imiennym każdego uprawnionego do głosowania o wyborach. Propozycji jest wiele, ale czasu na ich uchwalenie mało, bo każda musi być przyjęta najpóźniej na pół roku przed wyborami, których dotyczy. (DAB.)

Trefne pieniądze Midasa

Sześć zarzutów, m.in. dotyczące prowadzenia niezgodnej z prawem działalności parbankowej, fałszowania dokumentów i nieskładania sprawozdań finansowych, usłyszał w gdańskiej prokuraturze Marcin Plichta. Aż sześć czy tylko sześć? Zważywszy na skalę społecznych oraz medialno-politycznych oczekiwań, nie jest to wiele. Przecież pytanie, dlaczego ten oszust jeszcze nie siedzi, było tak powszechnie zadawane, że przynajmniej areszt wydawał się oczywisty. A tu nic, chociaż prokuratura po areszty sięga często, był nawet czas, kiedy się w nich lubowała. Na razie (może będą zarzuty następne) zakaz wyjazdów zagranicznych i policyjny dozór oraz górna granica kary do 5 lat plus grzywna to wszystko, na co prokuratura się zdecydowała, i być może po raz pierwszy w tej sprawie należy ją pochwalić za powściągliwość.

Jaka jest skala afery Amber Gold i co to za afera, tego jeszcze nie wiemy. Początkowo wszak była mowa o dziesiątkach tysięcy oszukanych klientów, teraz liczba ta zdecydowanie zmalała do 7 tys., co, zważywszy na skalę kampanii reklamowej Amber Gold, może nieźle świadczyć o przezorności Polaków i ich niechęci do oczywistego ryzyka. Być może także nieźle świadczy o skuteczności ostrzeżeń płynących ze strony niektórych instytucji państwa, czyli najbardziej tu właściwej Komisji Nadzoru Finansowego, a także mediów.

Nie jest więc tak, że w sprawie Amber Gold „zawiodło państwo”, co stało się ulubio-



nym przesłaniem opozycji na każdą okazję i sporej części bezmyślnych mediów na różne okazje. Absolutnych gwarancji nigdy nie będzie, a niektóre instytucje państwa w tym akurat przypadku działały zupełnie sprawnie, inne – w tym niestety wymiar sprawiedliwości oraz prokuratura (zwłaszcza ona) – zawiodły. Czy jest to skutek braku kompetencji, braku systemu przekazywania informacji, czy jakiś inny powód, niech wyjaśni prokurator generalny, bo stanowczo za dużo tych wpadek prokuratury, także od kiedy zyskała niezależność i uwolniła się spod politycznego parasola. Niechże dowiedzie, że sama potrafi ujawniać, i piętnować własne błędy. Na razie regułą jest chowanie głowy w piasek.

Są także ofiary: pierwszą stał się film Andrzeja Wajdy o Lechu Wałęsie. Prawicę, a zwłaszcza historyka Sławomira Cenckiewicza, ten film od dawna uwierał. Z góry uznała go za fałszerstwo, bo z jej punktu widzenia poprawny tytuł powinien brzmieć: „Agent Bolek”. Wałęsa musiał

więc Cenckiewicza bardzo ucieszyć, gdy oznajmił, że nie chce, aby go łączono z Amber Gold. Ponieważ producent też nie chce wchodzić do politycznego piekielka, pod którym ogień zaczął rozpalać Jacek Kurski (Wałęsa, oddaj te miliony – skąd znamy to hasło?), więc pieniądze wpłacone przez spółkę pana Plichty (w ramach sponsorowania filmowego przedsięwzięcia, kiedy firma nie uchodziła jeszcze za podejrzaną) mają zostać zwrócone i na zrealizowanie filmu może zabraknąć pieniędzy. Rozumiem psychologiczny kłopot producenta i dyskomfort Andrzeja Wajdy, ale chyba uderzamy głowami w sufit absurdu. Idąc tym tropem, można zająć bardzo daleko: przecież prezes P. sporo przedsięwzięć sponsorował, a więc niech zwracają wszyscy, którzy stali się beneficjentami jego firmy. Niech zwróć też pieniądze wszyscy, którzy latali liniami OLT Express, bo przecież wiedzieli, że 99 zł to zdecydowanie poniżej kosztów, czyli korzystali z oszustwa. Niech teraz dopłacą do ceny realnej, którą ustali np. Lot. Może w ten sposób uda się zaspokoić roszczenia „biednych ludzi”, którzy dali się nabrać na łatwy i szybki zysk.

Z afery Amber Gold sporo jeszcze różnych spraw da się zapewne ukłęcić. „Rzeczpospolita” już rozpoczęła cykl o „salonie” osłaniającym aferzystów. Wprawdzie u Plichty „salonu” jakoś mało, ale co szkodzi rzecz powiązać z Dochnalem, Voglem, Gawronikiem, a nawet Bagsikiem. Kto tam te dawne sprawy pamięta? Ważne, żeby się kręciły te same nazwiska, mające społeczne negatywne konotacje, zwłaszcza gdyby się okazało, że afera Amber Gold to taka sobie dość powszechna w świecie finansowa piramida – ani nie najwyższa, ani nie ostatnia.

(O aferze Amber Gold czytaj też s. 12-16)

6 nowych samochodów typu SUV

zamawia Centralne Biuro Antykorupcyjne. Minimum 2-litrowy silnik i moc 150 KM, napęd na cztery koła na aluminiowych felgach, przyciemniane szyby, pełny pakiet bezpieczeństwa i komfortu jazdy (w tym radio CD MP3 z możliwością słuchania muzyki nagranej na pendrive). SUV, jak na samochody służby specjalnej przystało, mają mieć niebiesko-czerwone lampy i właściwe sygnały dźwiękowe. Szef CBA zamawia także siedem 9-sobowych busów. Przetarg wygra najtańsza oferta. Flota CBA to obecnie 147 samochodów osobowych, cztery ciężarówki i bus. Do jakich zadań będą wykorzystywane SUV? – Jesteśmy służbą specjalną, więc nie możemy zdradzać zadań operacyjnych, ale na pewno nie będziemy nimi przewozić poczty – mówi Jacek Dobrzyński, rzecznik CBA. (DAB.)

Jan Koza



Pojednanie z połajaniem

Adam Szostkiewicz



Co zostanie z wizyty patriarchy Cyryla? Przede wszystkim symboliczne gesty. Za najważniejszy uważam podpisanie na Zamku Królewskim wspólnego dokumentu cerkiewno-katolickiego przez patriarchę i szefa Konferencji Rzymskokatolickiego Episkopatu w Polsce abp. Józefa Michalika. Ten dokument nazwany wspólnym przesłaniem do narodów Polski i Rosji podzielono na trzy części. Dwie pierwsze koncentrują się na odnowie relacji polsko-rosyjskich i ludziom niezacietrzewionym nacjonalistycznie u nas czy w Rosji mogą się podobać, jako potrzebny krok w dobrym kierunku.

Tę kościelną odwagę – a może nawet dalekowzroczność – po obu stronach dostrzegam i podziwiam. Wspólne posłanie Cyryla i Michalika przejdzie do historii obu Kościołów instytucjonalnych, lecz wcale nie wiadomo, czy do historii obu narodów. To zależy od tego, czy znajdzie się wola i energia, by gesty i symbole napęlić treścią uchwytą i przekonującą dla zwykłych zjadaczy chleba. A do tego droga daleka i wyboista, bo idea dialogu, a co dopiero pojednania, jest już mocno atakowana w Polsce i Rosji. W obu Kościołach i społeczeństwach nacjonaliści zwalczają pojednanie, dialog, ekumenizm jako idee z gruntu fałszywe i szkodliwe tak w polityce, jak w religii. W Rosji już dezawuuje się Cyryla jako maniaka ekumenicznego, a w Polsce Michalika jako wyrażiciela jedynie jego własnych opinii.

Zupełnie innych powodów kłopot z przesłaniem będą mieli przeciwnicy wszelkiego nacjonalizmu i rzecznicy współpracy między narodami – środowiska liberalno-demokratyczne, a w nich także chrześcijanie. Kłopot dotyczy fragmentów końcowego trzeciego rozdziału dokumentu. Są tam oskarżenia

współczesnego laickiego Zachodu o grzechy wynikające, zdaniem autorów, z ateizmu i laickości. W tej grubo uproszczonej wizji współczesności odzywają się antyliberalne lęki przywódców kościelnych. Lęki przed neutralną religijną demokracją, przed wielością światopoglądów i stylów życia.

Ten lęk słyszałem w bulwersujących słowach Cyryla, kiedy straszył nadciągającymi okropnościami, w „porównaniu z którymi wiek XX będzie sielanką”, jeśli Europa nie wróci do chrześcijańskich fundamentów. Ta twarda mowa z pewnością została dobrze usłyszana i przyjęta w Watykanie. Antyliberalny sojusz katolicko-prawosławny ma w Watykanie silne wsparcie. W tym sensie wizyta Cyryla i wspólny dokument wpisują się w politykę papieską, a może nawet torują Benedyktowi drogę do Rosji (czego nie pojęła na czas prawica pisowska). Dość szczerze powiedział o tym nuncjusz w Polsce abp Migliore: „jestem przekonany, że dziś Moskwa i Watykan są jeszcze bliżej”.

Unas dokument w części antyliberalnej będzie się podobał głównie prawicowcom typu Marka Jurka i wojownikom kulturowym, a w Rosji „antyzapadnikom”. Jednak z powodu tych samych antyliberalnych fragmentów może go odrzucić wielu ludzi dobrej woli, gotowych do wsparcia idei pojednania i dostrzegających wady demokracji, lecz niepodzielających panicznych lęków przed współczesną cywilizacją. Połączenie idei pojednania polsko-rosyjskiego z ideą antyliberalnego sojuszu katolicko-prawosławnego uważam za poważny błąd. Bo dokument brzmi tak, jakby wykluczał z dzieła pojednania i dialogu wielu ludzi – choćby protestantów i niewierzących. Nie odnajdą się oni w tak pomyślanym przesłaniu. Szkoda i żal.

Grunt to ulga

Joanna Solska



Stanisław Kalemby, nowy minister rolnictwa, ogłosił, że od 2014 r. rolnicy zaczną płacić podatek dochodowy. Czy oznacza to, że państwo wreszcie zacznie traktować rolników podobnie jak innych przedsiębiorców? Nie. To po prostu Waldemar Pawlak usiłuje – kosztem państwa – załatwić swoim wyborcom kolejne zwolnienie podatkowe i poprawić swoją polityczną pozycję przed jesiennym kongresem ludowców. Ustami Kalemby ogłosił, że nowy podatek dochodowy zastąpić ma obecnie obowiązujący podatek rolny, związany z powierzchnią posiadanych gruntów. Nie może być przecież tak, twierdzi minister, że rolnicy będą jednocześnie płacić dwie daniny.

Gdyby zapowiedź Kalemby miała stać się faktem, od 2014 r. ogromna większość z 1,5 mln gospodarstw nie płaciłaby nawet dotychczasowego symbolicznego podatku rolnego ani też nowego, dochodowego, bo nie osiągają wystarczających dochodów. Obciążenia podatkowe rolników, i tak bardzo niskie, stałyby się jeszcze mniejsze. W przypadku przedsiębiorców, którzy rolnikami nie są, brak zysku nie jest żadnym argumentem skłaniającym gminę do obniżenia im podatku gruntowego (to też podatek od ziemi, tyle że nierolniczej). Te dwie daniny wydają się czymś całkowicie normalnym. Tak jak mieszczuchom, którzy przedsiębiorcami nie są, normalny wydaje się fakt, że – oprócz PIT – płacą także podatek gruntowy od powierzchni zajmowanego domu czy mieszkania. Ponieważ samorządy są bardzo zadłużone, od nowego roku podatek gruntowy dla przedsiębiorców może wzrosnąć – aż do 88 gr za m kw., czyli nawet 8,8 tys. zł za hektar.

Posiadacze mieszkań, także najubożsi, również będą musieli płacić więcej.

Tymczasem, według wyliczeń Ministerstwa Finansów, średni wymiar podatku rolnego w ciągu ostatnich 5 lat wynosił ok. 100 zł z ha, a rolnikiem jest ten, kto ma ziemię, a nie ten, kto żyje z jej uprawy. Ziemia daje dopłaty i prawo do finansowanej przez państwo emerytury, a także prawo płacenia niskiego podatku rolnego, zamiast kosztownego gruntowego. I pozwala uprawiać fikcję. Spośród gospodarstw korzystających z wszelkich przywilejów dla rolników tylko 12 proc. żyje naprawdę z rolnictwa. Dla nich uprawianie ziemi lub hodowla jest głównym źródłem utrzymania, to do nich powinna być adresowana polityka rolna. Aż 47 proc. rolników utrzymuje się natomiast z pracy najemnej. Tyle że to praca na czarno, bo legalna wiązałaby się z utratą przywilejów.

Traktowanie posiadaczy gospodarstw rolnych jako grupy obywateli specjalnej troski ten chory stan utrwała. Dobre gospodarstwa nie mogą się powiększać, bo właściciele słabych, niedochodowych, w tej sytuacji nigdy nie pozbędą się ojcowizny. I mamy klincz.

Z najnowszego Powszechnego Spisu Rolnego wynika, że aż 56 proc. gospodarstw rolnych w Polsce stanowią te najmniejsze, do 5 ha. W 2002 r. było ich 58,6 proc. Chora struktura polskiego rolnictwa została zamrożona. Tak małe gospodarstwa nie mają szans, aby stać się dochodowe. Polityka PSL prowadzi do tego, by zawsze trzeba było im pomagać, a wielkość tej pomocy była zależna od uczestnictwa ludowców w koalicji rządzącej.



Dolnośląskie szlaki
kulturowe

DOLNY ŚLĄSK SZLAKI PEŁNE TAJEMNIC

www.szlakikulturowe.dolnyslask.pl



Wejdź na stronę

www.szlakikulturowe.dolnyslask.pl

i pobierz szlaki na GPS:

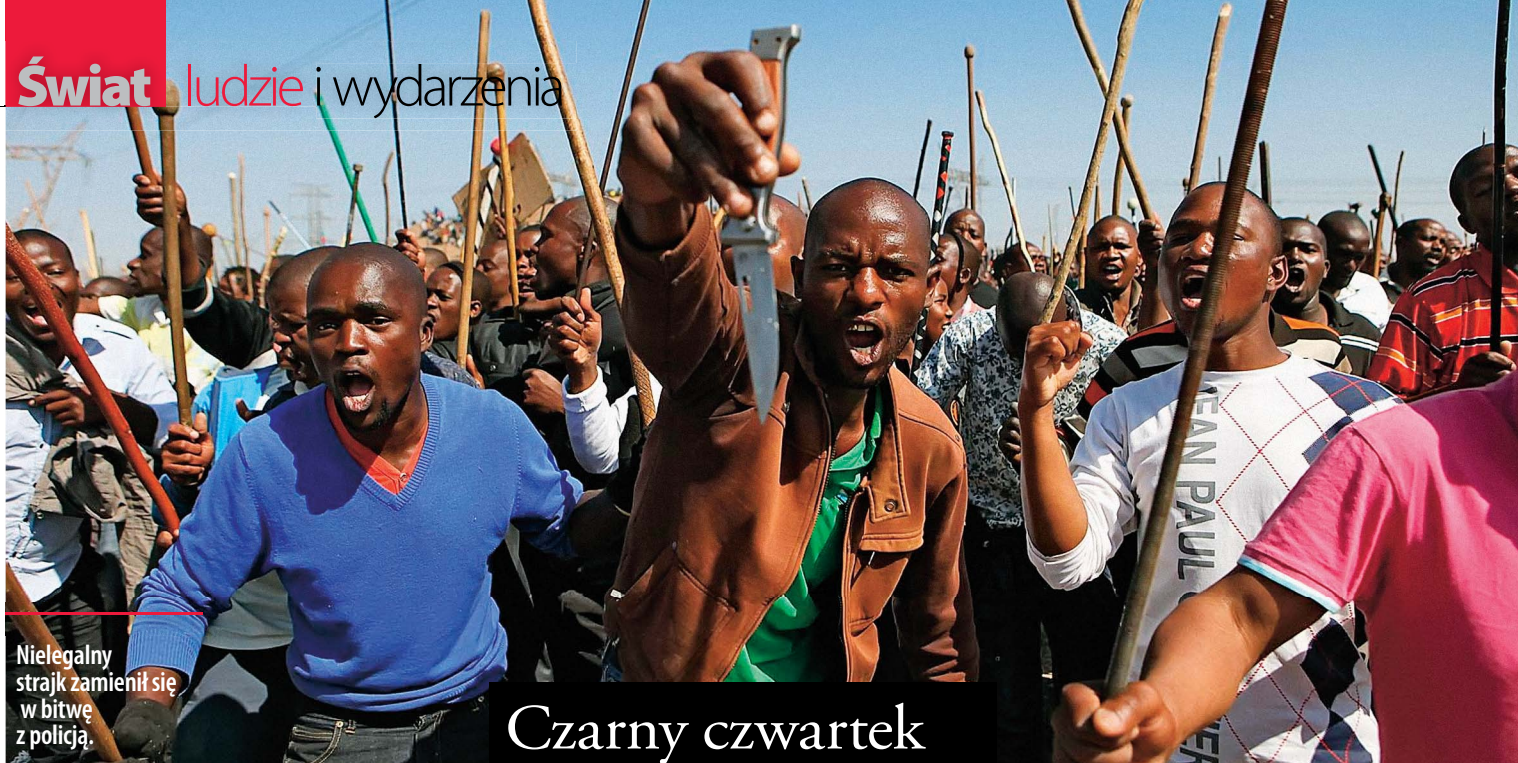
- Szlak Zamków Piastowskich
- Szlak Historii i Tradycji Wrocławia
- Szlak Obiektów Dziedzictwa Techniki Przemysłowej
- Szlak Cysterski
- Szlak Dolnośląskich Zamków i Pałaców
- Szlak Sudecki im. Mieczysława Orłowicza
- Szlak Doliny Pałaców i Ogrodów Kotliny Jeleniogórskiej
- Szlak Marianny Orańskiej
- Szlak Sanktuariów i Ośrodków Pielgrzymkowych
- Szlak św. Jakuba
- Szlak Historycznych Parków i Ogrodów Borów Dolnośląskich

FUNDUSZE EUROPEJSKIE - DLA ROZWOJU DOLNEGO ŚLĄSKA



Projekt pn. „Promocja dolnośląskich tras turystycznych o znaczeniu regionalnym” współfinansowany przez Unię Europejską z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego dla Województwa Dolnośląskiego na lata 2007 - 2013

Kup książkę



Nielegalny strajk zamienił się w bitwę z policją.

Czarny czwartek

Te dramatyczne sceny, które na okrągło pokazywała południowoafrykańska telewizja, przypominały jako żywo tamte z czasów apartheidu. Dlatego podzielały jako ponury symbol. Uzbrojona po zęby policja, teraz z licznym udziałem czarnych funkcjonariuszy, otwiera ogień do strajkujących. 34 ofiary śmiertelne, 78 rannych, 259 zatrzymanych czarnych uczestników dzikiego strajku w kopalni platyny Marikana należącego do międzynarodowego koncernu Lonmin (RPA posiada 80 proc. światowych złóż platyny i daje 12 proc. globalnej produkcji). Strajk był dziki, bo wynikał ze związkowej konkurencji: ze starego związku górników NUC, silnie związanego z rządzącym Afrykańskim Kongresem Narodowym (ANC) wypączkował radykalny AMCU, krytykujący

bieg rzeczy w kraju, a zwłaszcza tempo wyrównywania gospodarczych krzywd. To działacze AMCU obiecali za zapisanie się do ich związku potrójną podwyżkę płac. Strajk trwał od tygodnia, w zamieszkach związkowych zginęło już 10 osób, w tym dwóch policjantów i dwóch kopalnianych ochroniarzy, spalonych żywcem w samochodzie. Wtedy właśnie doszło do incydentu, najtragiczniejszego w dziejach demokratycznej RPA. Zdaniem szefów policji użyła ona broni w obronie własnej, zaatakowana przez 3 tys. bojowników uzbrojonych w pręty, dzidy i maczety, a pierwsze strzały miały paść ze strony atakujących.

Szykuje się ważna próba sił. W grudniu odbędzie się zjazd wyborczy ANC i partyjna opozycja z pewnością wykorzysta tragedię

Marikany przeciw prezydentowi Jacobowi Zumie. Starym działaczom ANC zarzuca się, że weszli do rad nadzorczych wielkiego przemysłu i stoją po drugiej stronie barykady. Sam Cyril Ramaphosa, prześladowany dawny szef czarnych związków, dziś pracuje dla Lonmina. Radykalna młodzieżówka już zaczęła wzywać do nacjonalizacji koncernów wydobywczych, „ostatniego bastionu białego kapitalizmu”, odebrania ziemi wielkim farmerom. Fakt, 18 lat wolnej RPA przyniosło wielkie zmiany, ale też dramatycznie nie spełniło obietnic. Widok górniczego osiedla pełnego blaszaków, bez elektryczności i z kranami na podwórku dobrze te zaawiedzone nadzieje ilustruje. W RPA, mimo wszystkich trudności, udawało się zachować pokój społeczny. Oby teraz nie runął.

Operetka Assange’a

Wawrzyniec Smoczyński

komentarz

Tonący balkonu się chwyta. Założyciel Wikileaks Julian Assange przez ponad rok walczył z wnioskiem o ekstradycję z Wielkiej Brytanii do Szwecji, gdzie jest podejrzewany o gwałt i molestowanie seksualne. Gdy w połowie czerwca przegrał ostatnią apelację przed sądem najwyższym i stanął przed groźbą wydalenia, uciekł do ambasady Ekwadoru. 16 sierpnia prezydent tego kraju Rafael Correa udzielił mu wprawdzie azylu politycznego, ale władze brytyjskie zapowiedziały, że nie pozwolą Assange’owi na wyjazd pod osłoną dyplomatów i są gotowe wkroczyć do ambasady, by go aresztować. Immunitet ani eksterytorialność nie chronią osób podejrzewanych o przestępstwa seksualne.

Niedzielne orędzie z balkonu miało wyglądać jak mowa prześladowanego dysydenta albo obalonego przywódcy. Ale Assange nie jest ani jednym, ani drugim. Stawia się w jednym szeregu z Bradleyem Manningiem, który wykradł depesze dyplomatyczne USA, choć sam je tylko upublicznił, zdobywając sławę, za którą



Manning ryzykuje teraz dożywocie. Assange wierzy, że stoi na czele obywatelskiej rebelii przeciwko zbrodnym rządowi, ale jakoś nie porywa tłumów. Może dlatego, że platforma Wikileaks nie ujawniła dotychczas zbrodni, która uzasadniałaby hurtowe łamanie tajemnic państwowych, a jej założyciel ma prywatne kłopoty z prawem.

Rozdęte ego nie zdołało unieść Assange’a ponad poziom półpiętra, z którego wygłaszał swój pompatyczny apel w obronie wolności słowa. Swoim wielbicielom nie wspomniał, że jego wybacza, prezydent Correa, sam tłumi niezależne media. Nie zająknął się też o tym, że dwa lata temu chciał przenosić Wikileaks do Szwecji – ze względu na przejrzystość i praworządność kraju, który dziś maluje jako bantustan, gotów z miejsca wydać go Ameryce na – kolejny absurd – pewną karę śmierci. Gdyby Assange miał połowę karkołomnej odwagi Manninga, broniłby swojej niewinności przed szwedzkim sądem. Na to jest jednak zbyt inteligentny, cyniczny i skupiony na sobie.

Magister zapłaci

Węgierscy maturzyści spędzają wakacje w kiepskich humorach. Rząd Viktora Orbána w ramach oszczędności ograniczył liczbę bezpłatnych miejsc na studiach wyższych, mogą o nich myśleć jedynie ci nieliczni, którym najlepiej poszedł egzamin dojrzałości. Liczbę punktów potrzebnych, by dostać się na darmowe studia, przyszli studenci poznali w połowie sierpnia podczas wielkiego koncertu zorganizowanego na budapeszteńskiej Wyspie Małgorzaty. Było piwo, kiełbaski i zespoły rockowe, a także wielki telebim, na którym – jak podczas ogłaszania wyników loterii państwowej – wyświetlano stosowne numery. W całych Węgrzech tylko 50 osób nie zapłaci za studia na prawie. Dla reszty czesne, na przykład rok na medycynie, to wydatek rządu 2 mln forintów, czyli ok. 30 tys. zł. Ci, którzy zdobyli jedno z bezcennych bezpłatnych miejsc, będą musieli podpisać zobowiązanie, że pierwsze lata po uzyskaniu dyplomu spędzą w kraju. A opuszczenie kraju bierze pod uwagę aż połowa Węgrów poniżej trzydziestki.

Aleppo ma dość

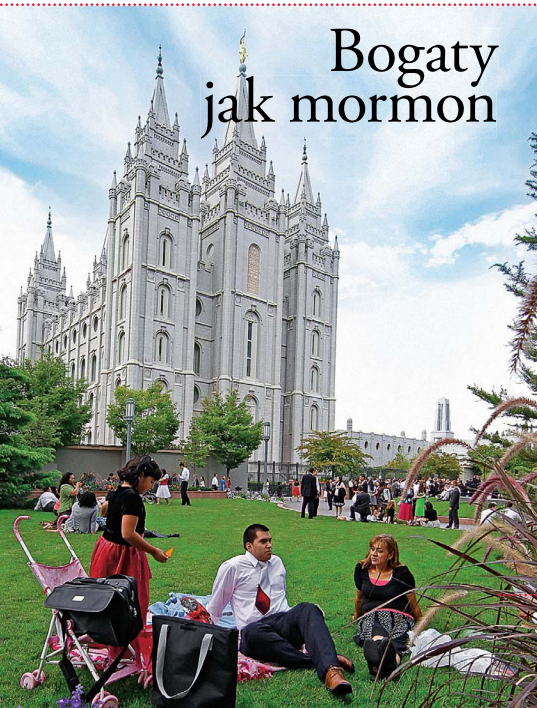
Syrię opuszczają obserwatorzy ONZ. Od kwietnia bezradnie próbowali monitorować proces wprowadzania zawieszania broni między rebeliantami a dyktatorem Baszarem Asadem, jednak 6-punktowy plan przygotowany przez Kofiego Annana ani na chwilę nie wszedł w życie. Tymczasem liczba ofiar śmiertelnych w wojnie domowej przekroczyła już prawdopodobnie 20 tys. Konflikt ogarnął zachód i północ Syrii, szczególnie intensywnie w ponaddwumilionowym Aleppo, którego mieszkańcy mają serdecznie dość obecności powstańców. Aleppo, gospodarcza stolica kraju i tygiel etniczny, długo pozostawało spokojne, dopiero przed miesiącem rebelianci wkroczyli do miasta. Teraz twierdzą, że kontrolują połowę dzielnic. Rozgrzana upałami metropolia ostrzeliwana jest przez rządową artylerię i lotnictwo, w tym odrzutowe myśliwce. Brakuje prądu i wody. Wiadomo, że wyjechało ok. 200 tys. osób, ale nikt nie potrafi policzyć cywilnych ofiar ani podsumować zniszczeń.

Wojna staje się coraz bardziej zacięta, obie strony dopuszczają się zbrodni, a rebelianci coraz chętniej organizują zamachy samobójcze. Wolna Armia Syryjska przyznała się do zdetonowania cysterny z paliwem zaparkowanej w Damaszku w pobliżu sztabu armii rządowej i przy okazji niedaleko hotelu, w którym mieszkają obserwatorzy. Do głosu dochodzą również radykalne ugrupowania islamistyczne, walczące u boku Wolnej Armii, jawnie powiązane z Al-Kaidą, zasilane ochotnikami z Libii, Maroka, Libanu i innych państw muzułmańskich. Wielu z tych przybyszów to doświadczeni kombataneci wojny z Amerykanami w Iraku. Ten nowy, niepokojący rys konfliktu sprawia, że zwłaszcza Stany Zjednoczone z narastającą niechęcią myślą o zbrojeniu przeciwników Baszara Asada i pośrednio wzmocnieniu Al-Kaidy.



© POLARIS/EAST NEWS

Bogaty jak mormon



Nowym prezydentem USA ma szansę rozstać mormon, więc finanse Kościoła Chrystusowego Świętych Dnia Ostatniego znów rozpalają emocje. Mormoni sami szacują, że jest ich na globie ok. 14 mln, a więc niewielu, choćby w porównaniu z anglikanami (80 mln), a co dopiero z katolikami łacińskimi (ponad miliard). A jednak ta niewielka wspólnota jest finansową potęgą nawet w porównaniu z Kościołem rzymskokatolickim. Profesor Uniwersyte-

Publiczne będzie za darmo

To radykalny czyn w newralgicznej światowej debacie o ochronie własności i wolnościach w Internecie. Od 2014 r., decyzją brytyjskiego rządu, wszystkie prace naukowe, które były finansowane ze środków publicznych, będą publicznie dostępne w sieci. Zdaniem Davida Willettsa, ministra szkolnictwa wyższego i nauki, skorzystają na tym także uniwersytety. Dziś wydają na zakup publikacji naukowych 200 mln funtów rocznie. W nowym systemie

koszty publikacji (ok. 2 tys. funtów za weryfikację i opracowanie artykułu) będą pokrywane z nakładów na naukę i stanowić około procenta tych sum. To z kolei budzi polemiki: fundusz się odchudzi, a wkład brytyjski w rynek światowych publikacji naukowych to zaledwie 6 proc. Za pozostałe trzeba będzie płacić po staremu. Minister Willetts uważa jednak, że szybko nastąpi tu przełom i że cała Unia wprowadzi podobne zasady.

Także po drugiej stronie Atlantyku narasta ferment; już 12 tys. uznanych naukowców przyłączyło się do bojkotu holenderskiego Elseviera, potentata wydawnictw naukowych, który żyłuje ceny swych publikacji. Ten spontaniczny ruch zaczyna już być nazywany Akademicką Wiosną. A poszczególne uniwersytety przyłączają się do systemu wolnego dostępu do prac swoich uczonych. Ścieżki przeciera tu sam Harvard.

tu Tampa socjolog Ryan Cragun, wespół z dziennikarzami Agencji Reuters, wziął pod lupę dostępne dokumenty finansowe dotyczące Kościoła mormońskiego, by zgłębić tajemnice tego sukcesu. Nie jest to łatwe, bo mormońskie finanse nie są zbyt przejrzyste, zwłaszcza w USA, gdzie żyje ponad połowa wyznawców.

Z analiz wyszło, że roczne przychody Kościoła sięgają 7 mld dol. To głównie dziesięciny wpłacane przez szczególnie lojalnych członków od ich dochodów oraz darowizny. Wartość kościelnej majątku – należących do mormonów świątyń, domów spotkań, rancz, gospodarstw rol-

nych, galerii handlowych – wynosi co najmniej 35 mld, ale może być znacznie wyższa. Najchętniej płacą na Kościół mormoni z USA, gdzie mormonizm powstał w XIX w.

Statystycznie amerykańscy mormoni są bogatsi niż przeciętny Amerykanin. A ich Kościół bogactwo zawdzięcza także bogaczom takim jak Mitt Romney. Płacą miliony, dostają prestiżowe miejsca we wspólnocie. Znajdziemy wśród nich biznesmenów z najwyższej półki, jak miliarder Jon Huntsman senior czy J.W. Marriott junior z rodu hotelarzy. Sam Romney wpłacił na Kościół za ostatnie wykazane dwa lata 4,1 mln dol.

Ofiary Amber Gold łączy jedna cecha: wszyscy prowadzili domorosłą inżynierię finansową.

Zrolowani

MARTYNA BUNDA

A był jednym z pierwszych. I najmłodszych. Lat 22. Zainwestował 50 tys. zł zarobione przy noszeniu trumien w Londynie. Wyliczył, że z odsetek, ponad 7 tys., kupi sobie używany samochód potrzebny w firemce, którą właśnie rozkręcał w Polsce. A kapitał miał pracować dalej.

Na Amber namówiła go mama. Inwestowała tu od dwóch lat, jej lokata kończyła się 9 lipca i szczęśliwie już jej nie zrolowała. Czyli nie odnowiła. (Mama, mówi A., szybko podchwyciła ten finansowy slang).

Konkretnie – nie była to lokata, ale prawo własności złota o wartości 10 tys. zł; instytucjom takim jak Amber Gold nie wolno zarabiać na obrocie pieniędzmi klientów. Ale mama pana A. i tak myślała, że to bank. Zresztą bank, nie bank – znajomi też inwestowali, od lat wszystko było w porządku. I to się liczyło.

10 lipca mamie przelali jeszcze całą sumę. Trzy dni później, gdy miała zakończyć się jego lokata, zadzwonili, że firma zmieniła obsługujący ją bank i są problemy techniczne. Będą małe opóźnienia z wypłatami. A potem już tylko zbywali, że przelew poszedł, że konta są wpisywane ręcznie, aż w końcu ktoś przesłał sfałszowany pdf z dowodem wpłaty.

W drugiej połowie lipca było już oczywiste, że piramida się posypała. 7 tys. klientów prawdopodobnie straci swoje pieniądze.

Państwo B. stracili 200 tys. zł. Pieniądze ze sprzedaży gospodarstwa po rodzicach plus trochę pożyczonych. Trzydziestoparolatki, dwoje dzieci i kredyt we frankach szwajcarskich. Rosnąca rata za mieszkanie, które zrobiło się niesprzedawalne, bo ceny poszły w dół, a zadłużenie w górę. B. mówi, że wizje agenta bankowego, który *wmydlał* im kiedyś kredyt, się nie potwierdziły: Polska nie weszła do strefy euro, złotówka nie poszła w górę, podobnie jak ich pensje. Liczyli jednak, że kiedyś kurs franka spadnie. I wtedy sprzedadzą mieszkanie.

Sprzedali gospodarstwa po rodzicach. Żeby pieniądze się nie rozeszły (o co łatwo przy dwóch dzieci i kredycie), ulokowali je w Amber. To był właściwie cały precyzyjny system: odsetki co trzeci miesiąc pokrywały ratę ich kredytu, dzięki jakby dodat-

kowej pensji mogli jakoś pociągnąć dwa pozostałe miesiące. Wręcz byli z siebie dumni, że tak to zbilansowali. Aż do lipca.

Tak, oczywiście, mówi B., dochodziły go słuchy, że Amber Gold to może być szemrany biznes. Ale rozumował logicznie: skoro prokuratura sprawdziła tę firmę i nie postawiła zarzutów, to znaczy, że gość był czysty, no nie? Wariant o spisku banków i czarnym PR brzmiał więc przekonująco. Że to banki, pazerne i wściekle, sięją ferment w sieci, na forach. Że Komisja Nadzoru Finansowego ostrzegła? Od trzech lat ostrzegła, a interes prosperował. Że gazety pisały? Mają czas tylko na czytanie w sieci, bo pracują. We wrześniu nie dostaną pieniędzy. Jeszcze to do nich nie dotarło.

Panu C. też trafia do przekonania wariant spisku. Lat 50, zawód artystyczny, 50 tys. zł straty; wszystkie oszczędności. Rozumował tak: w każdych czasach rodzą się wirtuozi rozmaitych branż. Dziś Bachem można być w finansach; człowiek operuje czymś, czego inni i tak nigdy nie pojmą, ale w pewnych warunkach i szaraczkom może coś skapnąć. Poza tym gość, który mu sprzedał tę lokatę w złoto, wziął go mocno pod włos, mówiąc, że szef Ambersa rozumie artystów, inwestuje w kulturę, w film Wajdy. W reklamach było o gwarancjach. W biurze pokazywali umowę ubezpieczenia, na folderze było logo PZU jako gwaranta bezpieczeństwa kruszcu. Miał dzwonić do PZU i sprawdzać?

Pan D. jest z tych, co myśleli, że Amber Gold to zwykły bank. Ich oddziały wyglądały przecież tak samo, pracownicy mówili: „w naszym banku”. Emeryt, lat 77. Stracił 200 tys. zł. Bo parał się, jak mówi, mikroinżynierią finansową. Po śmierci żony sprzedał mieszkanie, wyprowadził się do mniejszego, a różnicę ulokował w banku. Wyliczył, że odsetki co miesiąc pokryją koszt leków. Pokrywały, gdy banki dawały ponad 10 proc. A potem odsetki zaczęły topnieć, podatek Belki zrobił się nie do obejścia. I tak pan D. trafił na Ambersa. Młody człowiek w białej koszuli zachwalał, że to bezpieczny produkt.

E. chcieli zarobić z odsetek na wyposażenie kuchni w domu, który mieli budować za kapitał. Sprzedali stary dom, kupili grunt, ślimaczyło się pozwolenie



Kłapa reklamująca na gdańskiej starówce złote lokaty Amber Gold. Poniżej: plakat „Medalowej lokaty”. Okazała się jeszcze większą kłapą niż medalowy urobek naszych olimpijczyków w Londynie.



© MICHAŁ WARGIN/EAST NEWS



© LUKASZ CYNALEWSKI/AGENCJA GAZETA

na budowę. Nie ma sensu, by pieniądze leżały bezczynnie, z nieba nie spadają, niech zarabiają na to AGD.

F., lat 50, miała pieniądze po mężu. Konkretnie, po rozwodzie z jego wyłącznej winy sąd wycenił jej udział we wspólnym pożyciu w roli opiekunki ogniska domowego. Na Amber Gold namówił ją przyjaciel; trochę młodszy i odważniejszy w biznesach. Obiecuje teraz, że pomoże jej się utrzymać: kobieta w tym wieku, bez doświadczeń zawodowych, nie ma wielkich widoków. Przyjaciel nie zauważa taktownie, że postarzała się w tydzień o 15 lat. Dzieci, już dorastające, też nie komentują.

Pani G., lat 77, dzwoni codziennie, by zapytać, co prawnik dziś zrobił, żeby odzyskać ich pieniądze?! Prawniki bardzo nie lubi odbierać tych telefonów, bo pani G. ciągle krzyczy do słuchawki. Albo płacze.

Ten prawnik, Piotr Świerguła-Sielicki, jest jednocześnie doradcą finansowym. Reprezentuje klientów Amber Gold *pro publico bono*. W trakcie spotkania wycisza telefon; w ciągu godziny – 43 nieodebrane połączenia.

Zaczął się od tekstu, który napisał i wrzucił na swoją stronę internetową wiele miesięcy temu. Zanalizował krok po kroku produkty Amber Gold, z konstatacją, że to piramida finansowa, w końcu musi runąć. Prokuratura wszczęła śledztwo w sprawie Amber Gold, ale umorzyła. W myśl prawa – nie ma poszkodowanych, to nie ma przestępstwa.

Z perspektywy dzisiejszej Piotr Sielicki diagnozuje: największa strata jest w tym, że upadek Amber Gold zrujnował zaufanie klientów do rynku finansowego. Największe rozczarowanie – że wiedza o finansach jest wśród Polaków na przedszkolnym poziomie. Nie odróżniają np. instytucji finansowej od banku. Nie pytają: na czym konkretnie zarabia ten biznes? Gdzie jest zarobek, skoro nie na wzroście cen złota – bo ta cena może przecież spadać. Co to byłby za biznes, gdyby za oddanie bagażu do przechowania ktoś miał nam zapłacić?

Wierzą na słowo. Pracownik Amber Gold mówił: mamy zabezpieczenia, i ludziom to wystarczyło. Nie pytali, kto konkretnie ubezpiecza ich pieniądze. Nie wiedzieli, że fundusz bankowy ich nie gwarantuje. A co gorsza, kompletnie

nie mieli ani świadomości własnej niewiedzy, ani żadnych kompleksów.

Konstatacja druga: jeśli Komisja Nadzoru Finansowego uzna jakąś firmę za niewiarygodną, to za tym powinny pójść jakieś konkretne kroki w innych instytucjach. Prześwietlenie rentgenowskie. Lub ostrzeżenie powinno zostać wycofane. – *To absurd* – zauważa Piotr Sielicki – *żeby przez trzy lata przypinać jakiejś firmie latkę hochsztaplerskiej bez żadnych konsekwencji.*

W drugiej połowie lipca zaczął zbierać zgłoszenia od poszkodowanych. Na przykład tak: ktoś dzwonił i się radził, czy może wyjechać na wakacje, skoro to Amber tapnęło. Dziś reprezentuje ponad tysiąc osób. Zaczynają dzwonić tuż po ósmej rano, kończą po 22, ale nieraz ktoś w panice zadzwoni w środku nocy.

Mniej więcej dwie trzecie to mężczyźni. Średnia utracona suma – 43 tys. zł. Najwyższa strata – 3,2 mln zł. Ponad 60 osób straciło po 500 tys. zł. Nie ma czegoś takiego jak typowy wiek poszkodowanych. Najmłodszy ma 22 lata, najstarszy – 77 lat. Wszystkie możliwe profesje.

Nie ma w tym gronie nikogo, kto, rozmawiając, chciałby ujawnić nazwisko.

Pan H., lat 50, urzędnik, streszcza swoje obecne samopoczucie w żołnierskich słowach: – *Kim teraz jestem? Idiotą.*

Pani I. po czterdziestce, z doświadczeniem w biznesie, przekonuje, że doskonale wiedziała, że to piramida finansowa. Przedobrzyła jedynie z oceną, kiedy to się wysypie; obstawiała, że jeszcze dwa–trzy miesiące pohula. Ale nie będzie się tym chwalić po gazetach.

Pan J. ma znane nazwisko, podobnie jak twarz. I ostatnie, czego mu potrzeba, to litość padlinożerców – tabloidów. Radził się prawnika, czy jeśli się zdecyduje złożyć zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa, to musi to zrobić w swojej miejscowości. Czy nie można dyskretnej? Prawniki odpowiedział, że można podać inny adres do korespondencji, ale – niestety – nie ma gwarancji, że ktoś nie wyśle wezwania pod adres z policyjnej bazy danych.

Pan K. wścieka się na policję, że nie można odbierać zawiadomień na proste restante.

Pan L., lat 50, 200 tys. straty, nie może się przedstawić, bo nie chciałby, żeby się w ten sposób rodzina dowiedziała. Zainwestował wszystko: oszczędności swoje, żony oraz dzieci. Jak zwykle zresztą; żona nie ma orientacji w pieniądzu, a dzieci się przyzwyczaiły, że tata zna się lepiej. Porobił lokaty, ale bank powiedział, że przy sumach rzędu 200 tys. zł nie mają zwyczaju negocjować odsetek, i wówczas L. uniósł się honorem. Przeniósł się do Amber. Rodzina myśli, że pie- ►

Zamki na złotym piasku

Amber Gold nie jest pierwszym ani ostatnim pomysłem, jak wykorzystać naszą naiwność, chciwość, instynkt stadny. Na każdym kroku można znaleźć finansowe oferty kuszące nadzwyczajnymi zyskami. Nie stronią od nich nawet banki.

ADAM GRZESZAK, PIOTR PYTLAKOWSKI

► niądze wciąż leżą w banku, na lokacie dwuletniej. Ma więc trochę czasu, żeby coś wymyślić. Chyba że ktoś z dzieci przyjdzie wcześniej: tata, potrzebne pieniądze, bo mieszkanie, wnuk, ślub, cokolwiek. Nie wie, co wtedy.

Piotr Sielicki zauważa, że spora grupa – może nawet jedna trzecia jego klientów – nie podzieliła się z bliskimi informacją, że zbankrutowali. Ale żona pana M. sama go namawiała: złoto, cóż jest pewniejszego? Specjaliści podkreślają, że reklamy firmy trafiały właśnie do kobiet ze względu na stylistykę – kolory, symbole, podświadomie odwoływały się do bezpieczeństwa. No i ten stereotyp – złoto. W kakao czy kawę, które mają zdecydowanie wyższe stopy zwrotu niż złoto, nikt by nie zainwestował.

N. nie jest przesadnie czuły na stereotypy. Mówi o sobie: świadomy obywatel, odpowiedzialnie głosujący, dbający o ekologię. Od 10 lat jest niewidomy. Chciał sobie lekko podnieść komfort życia. Nie miał możliwości, żeby poszperać po sieci i poczytać o tym Amber Gold. Za to ma ulubione radio. A w radiu w kółko latały reklamy. I nikt nie mówił, że to piramida.

Latały te reklamy także w mediach polonijnych. O., P i R. to bliźnięta historie: zarobek z lat spędzonych na emigracji – stracony. O. na przykład już mieli wracać do Polski i zacząć robić dzieci. Już wybrali dom do kupna. Nie kupią, nie wrócą.

S., T. i U. zainwestowali, żeby więcej zostawić dzieciom. Też identyczne scenariusze. Pani U. nie może wybaczyć temu sprzedawcy lokat, w wieku jej syna, że tak ją sprytnie wykołował. Wie przecież, że ten chłopak miał płacone od sprzedanej lokaty, podobnie jak jego kierownik.

W. też czuje się ofiarą. W jego wypadku to jakby coś jeszcze więcej – zdrada? Pierwszą pracę dostał właśnie w Amber Gold. Uwierzył. W lipcu jeszcze podawał na forach swój prywatny numer telefonu, przekonywał, że opóźnienia w płatnościach to jedynie kwestia systemu. Za uniform służbowy też mu nie zwrócili.

A w sprawie pana Z. dzwoni do prawnika jego żona. Głos ma grobowy, gdy pyta, czy rzecz jest już naprawdę przesądzona. Mieli z mężem wyznaczony termin operacji i kuracji antynowotworowej w Stanach. Pal diabli pieniądze (pobierane z mozołem po bliższej i dalszej rodzinie na leczenie, które dzięki inwestycji w Amber miały zarobić jeszcze te brakujące kilkanaście tysięcy). Teraz o życie chodzi. Pani Z. zdążyła męża odratować, gdy się próbował powiesić, lecz nie wie, czy znowu zdąży.

Więc pani Z. pyta, czy to się naprawdę dzieje?

MARTYNA BUNDA

O domorostych inżynierach finansowych słuchaj w TOK FM, w środę 22 sierpnia po godz. 13.45.



Każdy iluzjonista wie, że najłatwiej wprowadzić widzów w błąd, skupiając ich uwagę na jakimś efektownym rekwizycie. Wówczas nie zwrócić uwagi na to, co naprawdę robi magik. W Amber Gold takim rekwizytem była sztabka złota. Przyciągała uwagę, budziła pożądanie i szacunek, była wyłumaczeniem, skąd się biorą wyjątkowe zyski. Choć firma padła, a policja prowadzi śledztwo, na stronie internetowej Ambersa wciąż można znaleźć fachowe analizy rynku złota, przekonujące, że taka inwestycja to gwarancja nadzwyczajnych zysków, bo przecież kruszec musi drożeć.

W rzeczywistości nic nie drożeje w nieskończoność. Nawet złoto, którego cena po fазie wzrostu od dłuższego czasu ustabilizowała się, a nawet nieco spada. Jak wyliczyli analitycy, od listopada 2011 r. do każdego powierzzonego przez klienta tysiąca złotych Amber musiałby dopłacić 200 zł, by zapewnić obiecane w reklamach zyski.

Mimo to pracownicy parabanku nie mieli kłopotów z przekonywaniem klientów o cudownych możliwościach złota. Podobnie jak wiele innych instytucji sprzedających dziś prawdziwy kruszec w postaci sztabek lub monet bulionowych (czyli takich, które nie są środkiem płatniczym, a jedynie formą przechowywania złota). Mennica Polska, spółka giełdowa i największy polski producent złota inwestycyjnego, w reklamach przekonuje, że działa oficjalnie i legalnie, sprzedaje złoto w postaci fizycznej, a nie sam papierowy certyfikat. Wyraźnie obawia się złej atmosfery, jaką wywołał skandal Amber Gold. „W niepewnych czasach kryzysu wielu inwestorom nie wystarczy już przechowywanie kapitału w formie akcji giełdowych czy funduszy inwestycyjnych. Dlatego Mennica Polska proponuje Pań-

stwu najstarszą, sprawdzoną przez wieki formę pomnażania pieniędzy – inwestycję w złoto” – kusi na stronie internetowej (o biznesie na złocie i monetach kolekcjonerskich pisaliśmy niedawno w POLITYCE 23).

W jednym z dzienników ukazał się właśnie wywiad z generalnym dyrektorem sprzedaży spółki Socket Resources (z małym dopiskiem: tekst promocyjny). Narzędzie inwestycyjne, mówił dyrektor generalny, nosi nazwę Perfect Trade. Klienci otrzymują wolną od podatków premię, a ich wpłaty zabezpieczone są złotymi monetami przechowywanymi w skarbcu. Kto wpłaci w przedziale 30 tys.–150 tys. zł, dostaje premię 18,1 proc.; od 150 tys. do 800 tys. zł – 20,3 proc.; powyżej 800 tys. zł – 26,5 proc. w skali roku! Więcej, niż obiecywał Amber Gold.

Ryzyka nie ma, przekonywał dyrektor, bo firma jest współwłaścicielem dwóch kopalń złota w Gwinei. Na stronie internetowej firmy powierzchnia afrykańskich kopalń (ponad 200 km kw.) porównywana jest z obszarem zajmowanym przez polskie miasta. Kopalnie są prawie trzykrotnie większe od Olsztyna.

– *Typowa gra socjotechniczna* – ocenia psycholog Jolanta Parzuch-Świerczewska. – *Brak informacji o zasobności pokładów złota w tych kopalniach, za to epatowanie klienta ich powierzchnią.* W reakcji na aferę z Amber Gold na internetowej witrynie Socket Resources zamieszczono notkę: „Chcielibyśmy państwa zapewnić, iż inwestując z Perfect Trade nawet w ewentualnej sytuacji kryzysowej, jesteście Państwo, a konkretnie Wasze pieniądze, bezpieczni”. Nie odniesiono się natomiast do faktu, że Socket znalazła się właśnie na liście ostrzeżeń Komisji Nadzoru Finansowego. Czy klienci wezmą sobie ostrzeżenie do serca?

Polski dyrektor ze spółki Socket Resources (zarejestrowanej w Szwajcarii) w wywiadzie mówi, że firma nie podlega KNF, bo nie jest bankiem ani domem maklerskim, a oferowany produkt nie jest lokatą, ale „rodzajem umowy inwestycyjnej”. Biznes działa co prawda w Polsce, ale według prawa szwajcarskiego.

Lęk, niepewność, obawa przed inflacją zjadającą oszczędności to dziś silny magnes przyciągający klientów i nakręcający rozmaite przedsięwzięcia oferujące alternatywne formy oszczędzania. Nie tylko w złoto, srebro, platynę, nieruchomości, ale nawet w wino, whisky czy stare samochody. W ubiegłym roku Polacy kupili 2–3 tony złota inwestycyjnego za ok. 400 mln zł. W tym samym czasie Niemcy zaopatrzyli się w 159 ton kruszcu. Lęki o oszczędności i obawa o przyszłość nie są naszą wyłączną domeną.

Polacy są zresztą w szczególnej sytuacji, bo większość dobrze pamięta okres hiperinflacji przełomu lat 80. i 90., kiedy oszczędności topniały z dnia na dzień. Świat stanął wówczas na głowie: zarabiano się na braniu kredytu z banku, a traciło na odkładaniu tam oszczędności.

Wykorzystał to Lech Grobelny, tworząc Bezpieczną Kasę Oszczędności, pierwszy polski parabank i matkę wszystkich kra-

jowych piramid finansowych. Oferował lokaty na 300 proc. rocznie. Nie inwestował jak Amber w złoto, ale w marki i dolary, wykorzystując szybko rosnące ceny obcych walut i fakt, że był właścicielem sieci kantorów. Pomysł był dobry, ale na krótko, bo w 1990 r. Balcerowicz wprowadził pełną wymienialność złotego. Piramida szybko się zawaliła, a jej twórca uciekł za granicę, zostawiając 10 tys. klientów, którzy stracili równowartość ok. 4–5 mln dol. Potem były kolejne piramidy żerujące na chęci szybkiego pomnożenia majątku: m.in. Galicyjski Trust Kapitałowo-Inwestycyjny z Rzeszowa czy Pol-Tech i Loan-Banc z Bydgoszczy. Ostatni przypadek jest ciekawy ze względu na nazwę. Właściciel próbował podszywać się pod bank, nie używając jednak tego zastrzeżonego słowa.

Podobne pomysły rodziły się w innych krajach naszego regionu, by wymienić słynną piramidę MMM w Rosji, rumuńskie FNI, SAFI, Mega-Caritas czy prawdziwą plagę finansowych piramid w Albanii. Ich upadek doprowadził do kryzysu politycznego i zamieszek. Od problemu tego nie są zresztą wolne najbogatsze kraje świata. Sama idea oszustwa polegającego na kuszeniu nadzwyczajnymi zyskami wypłacanymi z pieniędzy wpłacanych przez

kolejnych skuszonych narodziła się ponad sto lat temu w USA. Do dziś o tej metodzie mówi się schemat Ponziego, od nazwiska szefa oszukańczej firmy IRC. Podobne były zresztą już wcześniej i nie skończyły się wraz z aresztowaniem Charlesa Ponziego.

Niektóre, jak słynne fundusze Madoffa, działały latami wabiąc gigantycznymi zyskami nie tylko bogatych Amerykanów, ale nawet wielkie, międzynarodowe banki. Kiedy wyszło na jaw, że to piramida, straty sięgnęły 35 mld dol. Ocenia się, że upadek Madoffa (odsiadującego karę 150 lat więzienia) przyczynił się do światowego kryzysu finansowego 2008 r.

Oszust wykorzystywał kolejny popularny trik marketingowy zwany regułą niedostępności: przyjmował do pomnożenia tylko duże kwoty i nie od każdego. Każdy lubi poczuć się wyjątkowo, korzystać z czegoś, z czego inni nie mogą. Tak jak do Marcina Plichty przychodziły ponoć znane i ważne osoby, chcąc lokować w Amber Gold, tak klientami Madoffa zostawali tylko najbogatsi i wpływowi Amerykanie. Szczęśliwi, że udało im się dostać do niedostępnego świata finansowego czarodzieja, nie dociekali, jak robi swoje sztuczki.

Rozwój i komplikacja rynków finansowych tworzą zasłonę, za którą można ukryć rozmaite interesy.

Instrumenty finansowe, jakimi obracały przed kryzysem 2008 r. wielkie banki, były tak skomplikowane, że tylko nieliczni rozumieli mechanizm ich działania, choć wielu przeczuwało, że do niczego dobrego nie doprowadzą. Wszystkie były oparte na założeniu, że rynek nieruchomości będzie rósł w nieskończoność, a wiadomo, że takie rzeczy są niemożliwe.

W Polsce nie mieliśmy do czynienia z takimi instrumentami, choć i u nas panowała wiara, że ceny nieruchomości będą tylko rosły, więc inwestowanie w mieszkania to najpewniejszy sposób pomnożenia pieniędzy. Dziś okazuje się, że ceny mieszkań spadają, a obligacje spółek budowlanych (hit inwestycyjny ostatnich lat) są niewiele warte, bo same spółki albo zbankrutowały, albo są tego bliskie.

Niestety, wiele osób gospodarując pieniędzmi łatwo przyjmuje nierealne założenia, jeśli w oddali pojawi się perspektywa dużego zysku. Wizja niekorzystnego scenariusza jest minimalizowana albo ryzyko jest w ogóle pomijane. Pobudzająco działa za to marketing szeptany. Ryzykujemy, bo znamy podobno zainwestował i nieźle zarobił.

Tak było w Polsce na początku lat 90., kiedy zaczęła działać Giełda Papierów Wartościowych. Wielu Polaków urzekła dziecinna łatwość pomnażania pieniędzy. Kursy rosły szybko i systematycznie, wystarczyło pożyczyć pieniądze z banku, kupić akcje i wkrótce sprzedać. Wydawało się, że hossa nigdy się nie skończy. Gdy ►



© CORBIS

► w 1993 r. jednak się skończyła, zapanała szok. I od razu pojawiły się pytania: kto do tego dopuścił? Kto odda nam nasze pieniądze?

Takie pytania zawsze wracają w kryzysowych momentach. Osoby mające skłonność do ryzyka często nie akceptują porażki i szukają winnego. Tak było całkiem niedawno, gdy przedsiębiorcy, którzy zdecydowali się na ryzykowne opcje walutowe, zorientowali się, że uczestniczą w grze hazardowej z bankami, w której można wygrać, ale można także przegrać. Kiedy zaczęli przegrywać, pojawiły się żądania, by grę unieważnić.

Czy to USA, czy Polska, czy chodzi o lokowanie kilku tysięcy złotych, czy milionów dolarów, mechanizmy są te same: żongluje się przed klientem liczbami, procentami, podsuwa wykresy i symulacje, pokazuje wyliczenia, przekonuje o trendach rynkowych i mocnych gospodarczych fundamentach. Tę metodę stosują nie tylko twórcy podejrzanych przedsięwzięć finansowych, ale także renomowane banki, fundusze inwestycyjne i firmy ubezpieczeniowe.

Nawet zwykła bankowa lokata oferowana jest często tak, by stworzyć na kliencie wrażenie, że zarobi więcej niż w rzeczywistości. Kto się nie skusi na 10 proc.? Czy to możliwe? Tak, ale tylko w reklamie, bo to lokata progresywna: oprocentowanie rośnie w okresie umowy i w ostatnim miesiącu dochodzi do 10 proc. W skali rocznej przekracza nieco 5 proc., czyli tyle, ile w innych bankach. O tym jednak pisze się drobnym druczkiem. Jeszcze większą pułapką są tzw. produkty strukturyzowane, niezwykle intensywnie promowane dziś przez banki: część pieniędzy trafia na lokatę, reszta jest inwestowana. Powinny być polecane wyłącznie klientom doświadczonym, jednak często doradcy próbują sprzedać je każdemu, argumentując, że nie można na nich stracić. W istocie większość ma gwarantowany kapitał, czyli w najgorszym razie po zakończeniu inwestycji dostaniemy tyle, ile wpłaciliśmy. Ale każdy kuszony jest perspektywą ogromnego zysku, leżącego w zasięgu ręki.

W rzeczywistości struktury obarczone są sporym ryzykiem, bo ewentualny zysk zależy od spełnienia często bardzo skomplikowanych warunków, np. zmian indeksów giełdowych, kursów walut czy surowców. Wiele z nich to po prostu loteria. Podobnie sytuacja wygląda z funduszami inwestycyjnymi, z których Polacy wycofują pieniądze. Doświadczenia ostatnich lat przekonały ich, że nawet tzw. fundusze stabilnego wzrostu nie gwarantują wzrostu oszczędności, a mogą powodować systematyczną stratę.

Federacja Konsumentów oraz Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów

(UOKiK) od pewnego czasu przyglądają się towarzystwom ubezpieczeniowym, które oferują rzekomo atrakcyjne lokaty pieniężne. – *Badamy umowy ubezpieczenia na życie z ubezpieczeniowymi funduszami kapitałowymi* – mówi Małgorzata Cieloch, rzeczniczka UOKiK. – *Szczególnie interesuje nas sposób ustalania opłat za rozwiązanie kontraktu przed terminem. Zdarza się, że jeśli umowa zostanie przez klienta rozwiązana w pierwszych latach jej obowiązywania, opłata wynosi blisko 100 proc. wkładu.*

Polisa w gruncie rzeczy jest parawanem – jeżeli klient straci życie z powodu nieszczęśliwego wypadku, jego rodzina dostanie 2,5 tys. zł, a jeżeli z przyczyn innych – 1 zł (jeden złoty). Składki są inwestowane w ubezpieczeniowe fundusze kapitałowe; klient sam je wybiera. Nikt nie da mu gwarancji, że po 10 latach (na tyle obowiązuje umowa) lokaty przyniosą zyski i jakie. – *Wizja jest niepewna, a rokowania ryzykowne, ale chętnych to nie zraża* – mówi psycholog Jolanta Parzuch-Świerczewska. – *Podczas umiejętnie przeprowadzonego szkolenia zostali przekonani, że trzeba zadbać o przyszłość. Decydują się na wysokie stawki, bo to rzekomo gwarantuje wyższy zysk. Nie wiedzą, że strata też może być wyższa.*

UOKiK w związku ze skargami klientów prowadzi właśnie postępowania wyjaśniające dotyczące m.in. firm AXA Życie Towarzystwo Ubezpieczeń, Generali TU SA, Skandia Życie TU SA, Polbank EFG i Towarzystwo Ubezpieczeń na Życie Europa SA z Wrocławia. Podstawą jest wyrok Sądu Ochrony Konkurencji i Konsumentów, uznający za nieważne umowy Towarzystwa Ubezpieczeń z Łodzi, zgodnie z którymi za likwidację ubezpieczenia w pierwszym roku klient tracił 100 proc. wkładu. Sąd nie określił jednak, ile towarzystwa ubezpieczeniowe mogą zabierać za rezygnację z tzw. polisy.

Towarzystwa ubezpieczeniowe działają zwykle za pomocą firm agentów werbujących klientów. Np. Nordea Polska Towarzystwo Ubezpieczeń na Życie korzysta z prawie setki takich firm. Jedną z nich, Europejska Grupa Planowania Finansowego (założona w Puławach), organizuje sieć klientów metodą znaną z MLM (multi-level marketing – marketing wielopoziomowy). Z pomocą MLM sprzedaje się chemikalia domowe (np. Amway) czy garnki (np. Zepter).

Szefowie EGPF – jak twierdzą – też sprzedają produkty, tyle że finansowe. Klient, który przyprowadzi do firmy nowego nabywcę polisy, dostaje prowizję, a potem mniejsze kwoty za klientów, jakich ściągnie osoba polecona. W ten sposób tworzy się struktura podobna do piramidy. Dariusz Kuśmierz, prezes EGPF, jest przekonany, że jego metoda nie ma nic wspólnego z piramidą finansową.

– *Zdecydowałam się kupić polisę w EGPF, bo wyliczono mi, że jeżeli ściągnę kolejnych nabywców, szybko zwrócą mi się nakłady, a nawet sporo zarobię* – mówi Anna, prawniczka z Warszawy. Uczestniczyła w dwudniowym szkoleniu w atrakcyjnym ośrodku turystycznym nad Zalewem Żegrzyńskim. Grupa liczyła ok. 30 osób. – *Elokwentni prelegenci, wizualizacje, wykresy* – opowiada. Nie dowiedziała się jednak, że z opłacania składek nie może zrezygnować przed upływem 10 lat, bo może stracić nawet 95 proc. wkładu. Wiceprezes EGPF Jacek Cierniawski: – *Nordea nie wystawiłaby polisy, gdyby nie dostała sygnowanego podpisem klienta potwierdzenia, że zapoznał się ze szczegółowymi warunkami umowy.*

Konrad Bogusławski, były kierownik zespołu ds. szkoleń EGPF, twierdzi, że przestał współpracować z tą firmą, bo uważał, że istotne informacje są przed klientami ukrywane. – *Dostają do podpisu stos papierów, wszystko szybko, szybko, nikt dokładnie niczego nie czyta. Kiedy próbowałem klientów ostrzegać przed zagrożeniami, wybuchła awantura...*

Katarzyna Golińska z Nordei daje niedoinformowanym klientom cień nadziei: – *W przypadku zawarcia umowy pod wpływem błędu, nie jest wykluczone odzyskanie środków. Każdy przypadek rozpatrywany jest indywidualnie.*

Można sobie drwić z „naiwniaków”, którzy powierzyli pieniądze młodemu spryciarzowi z Amber Gold, ale, po prawdzie, któż tu jest bez grzechu: ilu z nas uległo pokusie „niezwykle atrakcyjnych” lokat w bezpiecznych funduszach, ilu zaciągnęło kredyt hipoteczny we frankach szwajcarskich, „gwarantujących” niskie stopy procentowe, wzięło szybką pożyczkę „zero procent” albo wykupiło zagraniczne wycieczki „all inclusive za bezcen”.

Jesteśmy wciąż społeczeństwem na dorobku, aspiracyjnym, niecierpliwym, szukającym do dobrobytu dróg na skróty, jesteśmy łowcami okazji, superpromocji, zawsze gotowi stanąć w kolejce, „gdzie coś dają”. Uczymy się reguł gospodarki rynkowej na własnej skórze, często boleśnie, ale jak widać z przykładów bardziej dojrzałych od nas społeczeństw, przewaga wiary nad doświadczeniem jest pewną stałą cechą natury ludzkiej. A popyt na okazje sprawia, że zawsze pojawiają się sprzedawcy złudzeń.

Znajomy doradca finansowy mówi, że „spokojnie” to można liczyć na zyski od kapitału w przedziale 3–5 proc. rocznie; wszystko, co proponują nam powyżej, to już ryzyko stopniowo przechodzące w hazard i awanturę. No, ale do takich mądrości wystarczy każdy głupi, a od doradcy oczekujemy specjalnej oferty...

ADAM GRZESZAK, PIOTR PYTLAKOWSKI
WSPÓŁPRACA Cezary Kowanda